

## **Bartosz Jastrzębski: Wewnętrzna przestrzeń spotkania z Transcendencją**

Wydaje mi się, że można odnosić pojęcie serca do pojęcia osoby. W obu bowiem przypadkach mówimy o głębokiej, wewnętrznej przestrzeni, będącej ontologicznym centrum bytu ludzkiego, a zarazem „miejscem” spotkania z Transcendencją – pisze Bartosz Jastrzębski w odpowiedzi na szósty list Krzysztofa Dorosza

*Przeczytaj list Krzysztofa Dorosza do Bartosza Jastrzębskiego*

*Podstawową rzeczą jest stanąć przed Bogiem z umysłem w sercu i stać  
przed Nim  
nieustannie, dzień i noc, aż do końca życia[1]*

Św. Teofan Rekluz

*Drogi Krzysztofie,*

Oto podjęliśmy w naszej korespondencji problematykę – można rzec – bardziej praktyczną, oczywiście w niebłahym i niepłytkim tego określenia rozumieniu. Bo jedną, i ważką niewątpliwie, jest rzeczą podejmować kwestie teoretyczne – zagadnienia związane z oglądem rzeczy, ich porządkiem, hierarchią i celem – sytuowane zazwyczaj na gruncie metafizyki czy teologii dogmatycznej, inną zaś próbować zmienić swoje życie podług tego obrazu świata, do którego się w poszukiwaniach doszło i który się przyjęło jako własny. Są to kwestie wprawdzie ściśle powiązane – ale nietożsame.

Nie dziwi tedy, że dotarliśmy do zagadnień duchowości i modlitwy. Zapytywałem Cię w ostatnim liście o możliwe dziś do podjęcia „sposoby” i drogi duchowego rozwoju. Zgadza się bowiem co do tego, że praca ściśle intelektualna, choć cenna i zasadniczo dla duszy pożyteczna (pomijam tu radykalne zbłądzenia i ideologiczne zacządzenia) nie jest tożsama z duchowym rozwojem. Może być – i na ogół jest – jakimś jego elementem, ale sam ów rozwój sięga głębiej i rozpościera się szerzej niżli czysto intelektualne dziedziny. Mało tego, sięga również głębiej niż nieszlachetne często sposoby bytowania i aktywności naszego powszedniego ja empirycznego czy, jeśli wolisz, ego.

W tym kontekście odwołałaś się do biblijnego pojęcia serca, przeciwstawiając je w pewnej mierze przypisywanemu spuściźnie greckiej dualizmowi duszy (rozumu) i ciała. Co do owego rzekomo charakterystycznego dla Hellenów dualizmu można się jednak spierać. Nowsze badania pokazują, że sprawa wcale nie była tak oczywista i u Greków równie rozpowszechnione – a nieraz nawet bardziej – były niedualistyczne ujęcia istoty ludzkiej. Wspomnij choćby hylemorfizm

Arystotelesa bądź panteizujący materializm stoicki czy jawny już materializm epikurejczyków, cyrenajków... Dualizm specyficzny był przede wszystkim dla szkoły platońskiej, ale i to nie jest takie jednoznaczne, bo, jak słusznie zauważa Joseph Ratzinger „antropologii platońskiej właściwy jest w pierwszym rzędzie nie dualizm duchowych sił człowieka, ale dążenie do wewnętrznej jedności, koncentracja i oczyszczenie wszystkich sił ludzkich poprzez «sprawiedliwość»”.

*Praca ściśle intelektualna,  
choć cenna i zasadniczo dla  
duszy pożyteczna, nie jest  
tożsama z duchowym  
rozwojem*

Trzeba więc  
uszlachetniać i  
pielęgnować  
zwierzęta oswojone,  
a poskramiać dzikie,  
zaprząć lwa do walki  
o ocalenie człowieka.  
Podobnie też, gdy

chodzi o relację ciała do duszy ostatecznym celem Platona jest integracja elementów dualistycznych, osiągnięcie jedności w wielości”[2]. W konsekwencji przyszedł papież Benedykt XVI konkluduje: „pokutująca powszechnie w nowszych traktatach teologicznych nauka o grecko-platońskim dualizmie między ciałem a duszą wraz z związaną z nim nauką o nieśmiertelności duszy jest fantazją teologów, nie mającą odpowiednika w rzeczywistości”[3]. Zwróć również uwagę, że modlitwa serca, o której wspominasz, określana nieraz mianem hezychazmu, najbujniej rozwinęła się właśnie wśród tych – rzekomo przeintelektualizowanych Greków – między innymi na Atosie, gdzie kwitnie po dziś dzień. Oni to (dzięki takim mistrzom jak św. Makary Egipski, Ewagriusz z Pontu a w późniejszym czasie św. Symeon Nowy Teolog czy św. Grzegorz Synaita), uczynili z modlitwy serca dopracowaną, bezpieczną i pewną drogę duchowego rozwoju. Potem zaś modlitwa ta zakiełkowała pięknie na Rusi. Nie do

końca chyba słuszne więc byłoby oskarżanie Greków o dualizm i nadmierny racjonalizm – choć tak zwykło się nieraz czynić. Pseudo-Antoni Wielki, anonimowy grecki mnich, o silnych skłonnościach neoplatońskich pięknie ujął konieczność współdziałania i jedności wszystkich władz ludzkich: „Umysł, który jest w duszy czystej i miłującej Boga, patrzy w prawdzie na niezrodzonego, niewidzialnego i niewysłowionego Boga, jedynie czystego w czystości serca”[4].

Ale wróćmy do samego pojęcia serca – jest to temat praktycznie niezmierny. I nie może być inaczej, skoro rzeczywistość przez ów termin oznaczana legła u najgłębszych podstaw całej chrześcijańskiej etyki i mistyki. Wszak na Górze Błogosławieństw Zbawiciel nauczał:

Błogosławieni czystego serca,  
albowiem oni Boga oglądać będą (Mt 5,8)

μακάριοι οἱ καθαροὶ τῇ καρδίᾳ,  
ὅτι αὐτοὶ τὸν θεὸν ὄψονται.

Grzegorz z Nyssy, komentując to błogosławieństwo tak powiada:

Bóg wycisnął na swoim stworzeniu podobieństwo dóbr własnej natury, jakby kształtował wosk według jakiejś formy. Lecz zło, zakrywając ten znak podobieństwa do Boga uczyniło bezużytecznym dla ciebie to dobro, spowiewając je paskudnymi zasłonami. Jeśli dzięki doskonałości życia obmyjesz brud kalający twoje serce, rozblęśnie dla ciebie piękno podobne do Boskiego. Jak żelazo oczyszczone osetką z rdzy, wcześniej czarne, teraz błyszczący i lśni w

słońcu, tak człowiek, gdy zeskrobie ze swego wnętrza, które Pan nazywa sercem, rdzawy brud, naniesiony przez złą pleśń, odzyska podobieństwo do pierwowzoru i stanie się dobry. [...]. Jeśli twoje myśli są wolne od zła i namiętności oraz oczyszczone z wszelkich skaz, jesteś szczęśliwy z powodu bystrości spojrzenia, bo ujrzałeś to, co niewidoczne dla oczu nieoczyszczonych, a usunąwszy z oczu duszy mgłę materii wyraźnie widzisz na czystym i pogodnym niebie swojego serca ten szczęśliwy widok. Cóż widzisz? Czystość, świętość, prostotę i inne odblaski Boskiej natury, dzięki którym ogląda się Boga”[5].

Przytoczyłem ów dłuższy fragment z Nysseńczyka, bo jest on klasycznym niejako rozwinięciem tematu czystego serca. Było ono postrzegane przede wszystkim jako przestrzeń czystego i przenikliwego widzenia, oczyszczonego z wszelkiego rodzaju „drzazg i belek”, mąjących spojrzenie i rozeznanie. „Poznawcze” rozumienie owego błogosławieństwa przenika się wszakże nieustannie z jego moralnym aspektem. Poznanie religijne – inaczej niż naukowe – nie jest bowiem niezależne od stanu moralnego poznającego: musisz być dobry, by móc poznać Dobro. Tu w pełni znajduje zastosowanie pradawna reguła epistemologiczna: podobne poznaje podobne. Oba powyższe elementy – poznawczy i moralny – fundują w konsekwencji rozumienie egzystencjalne serca: jako centrum bytu. Tę jego wieloaspektowość pięknie i trafnie ujmuje Katechizm Kościoła Katolickiego:

Serce jest mieszkaniem, w którym jestem, gdzie przebywam (według wyrażenia semickiego lub biblijnego: gdzie "zstępuję"). Jest naszym ukrytym centrum, nieuchwytnym dla naszego rozumu ani dla innych; jedynie Duch Boży może je zgłębić i poznać. Jest ono miejscem decyzji w głębi naszych wewnętrznych dążeń. Jest

miejszem prawdy, w którym wybieramy życie lub śmierć. Jest miejscem spotkania, albowiem nasze życie, ukształtowane na obraz Boży, ma charakter relacyjny: serce jest miejscem przymierza (KKK, 2563).

Serce jako najgłębsze centrum, jako prawdziwy dom, jako imago Dei – nasuwają się tu nieuchronne i chyba zasadne skojarzenia z Jungowskim archetypem jaźni czy Eckhartowskim „warownym miasteczkiem”. Również niektóre ujęcia osoby spotykane w personalizmie zdają się korespondować z tak rozumianym sercem. Osoba bowiem jest w nich rozumiana nie jako przyziemne, małosłowne i z natury swej egoistyczne ja empiryczne. Jest czymś więcej – obejmuje także to, co czego zrazu sobie nie uświadamiamy, to co ukryte przed spojrzeniem przesłoniętym codziennymi troskami.

*Osoba to głębszy i zazwyczaj zrazu ukryty ośrodek, który należy w sobie dopiero odnaleźć i przez to odnalezienie urzeczywistnić*

Wydaje się zatem, że trzeba mówić o dwóch ośrodkach naszej duszy, które – niestety – nader często są ze sobą mylone. To błąd bardzo poważny

ponieważ w jego efekcie łatwo można powziąć szkodliwe przekonanie, iż chrześcijaństwo afirmuje wyalienowaną, zanurzoną prawie bez reszty w egoistycznych interesach „sobość”, „niższe”, „ateistyczne” centrum aktowe, będące efemerycznym i raczej chwiejnym skutkiem grzechu pierworodnego. Tymczasem osoba to nie owo płytkie i ciasne ego – to, jak wspomniałem – głębszy i zazwyczaj zrazu ukryty ośrodek, który należy w sobie dopiero odnaleźć i przez to odnalezienie

urzeczywistnić. Owa jaźń jest bowiem sekretna – choć „prześwieca” niekiedy subtelnie nawet w najbardziej zwyczajnych działaniach powszedniego ja. By jednak do owej głębszej jaźni na trwałe dotrzeć, niższe ja musi „umrzeć”, „rozpuścić” się, czyli scedować własną aktywność na to, co nim nie jest, co je przekracza i obejmuje. Wówczas dopiero wzrastać może „ziarno gorczyczne” wewnętrznego królestwa, wówczas „On wzrasta, a ja maleję”. Albowiem bycie prawdziwie osobą to cel i nagroda ciernistej drogi życia, nie zaś punkt wyjścia – punktem wyjścia jest bowiem, jak obrazowo to określa Possenti, „wygnanie z samego siebie”:

Każda osoba jest na wygnaniu z samej siebie. Jest jak Odyseusz, który nieustannie poszukuje drogi do swego rodzinnego domu, który jest w drodze do Itaki, do własnego wnętrza. Jeśli podróż kończy się powodzeniem, Ja spoczywa we własnym centrum, które wcześniej znało tylko poprzez symbole, znaki, zdarzenia z własnego życia. Centrum jest miejscem, gdzie Ja może spotkać się z Rzeczywistością Ostateczną[6].

Ów wyższy ośrodek duszy nazywa tu Possenti „centrum”, w którym ja „niższe” musi dopiero spocząć. Potwierdza tym samym, że jego – centrum - osiągnięcie jest stojącym przed każdym zadaniem. Myślę, że można tu też zasadnie przywołać słowa Chrystusa z Apokalipsy, według których „nowe imię” (czyli nowa, przemieniona tożsamość) jest laurem zwycięzcy w „dobrych zawodach” (1Tym 6,11):

Zwycięzcy dam manny ukrytej  
i dam mu biały kamyk  
a na kamyku wypisane imię nowe,  
którego nikt nie zna oprócz tego, kto [je] otrzymuje. (Ap 2,17)

Tak więc wydaje się, że można słusznie odnosić pojęcie serca do pojęcia osoby. W obu bowiem przypadkach mówimy o głębokiej, wewnętrznej przestrzeni, będącej ontologicznym centrum bytu ludzkiego, a zarazem „miejscem” spotkania z Transcendencją.

*Charakterystycznym dla  
chrześcijaństwa ćwiczeniem  
duchowym jest właśnie  
praktyka moralna – praktyka  
miłości bliźniego*

Ale spójrz: mieliśmy  
zwrócić się ku  
bardziej  
praktycznym  
problemom życia  
duchowego, a  
zdradliwy umysł już  
zaczyna

teoretyzować! Wróćmy więc do serca i modlitwy. Pozwolę sobie przywołać w tym miejscu słowa wielkiego hezychasty Filoteusza z Synaju:

W każdej godzinie i w każdej chwili strzeżmy więc gorliwie swego serca, zachowując je wolnym od myśli, gdyż one zaciemniają zwierciadło duszy. Zwierciadło to zaś nosi w sobie odbicie i promienny obraz Jezusa Chrystusa, który jest mądrością i mocą Boga Ojca. Ustawicznie szukajmy królestwa niebios wewnątrz serca. Jeśli tylko oczyścimy oko naszego umysłu, znajdziemy ukryte w nas ziarno gorzycy, perłę, zaczyn i wszystko inne. Dlatego też Pan nasz Jezus Chrystus powiedział: „Królestwo Boże jest wewnątrz was”. Oznacza to, że Bóg pozostaje w sercu[7].

Nie można chyba wyrazić istoty serca wyraźniej. Jawi się tu ono jako przestrzeń kontemplacji, a zarazem pole walki w praktyce moralnej – albowiem przestrzeń tę trzeba wprzód oczyścić, na co kładł nacisk przywoływany Grzegorz z Nyssy. Myślę zresztą, iż charakterystycznym dla chrześcijaństwa ćwiczeniem duchowym jest właśnie praktyka moralna – praktyka miłości bliźniego. Nic bodaj tak skutecznie jak ona nie wyniszcza naszego ego, bo bliźni, podobnie jak my sami, to nader trudny przedmiot miłowania: jest bowiem upadły, słaby, chwiejny, skłonny do zła. Praktyka ta nie wymaga jednak żadnych specjalnych warunków, skomplikowanych technik czy ściśle wygospodarowanego czasu – co byłoby bardzo kłopotliwe dla współczesnego człowieka. Słowem, można ją podejmować zawsze i wszędzie.

*Wolność winna  
współpracować z łaską – ale  
jej nigdy nie zastąpi*

Nie oznacza to, jak się rzekło, że jest ona łatwa. Przeciwnie, to najtrudniejsza i najbardziej niewdzięczna (z

punktu widzenia ego) praca, jaką można sobie wyobrazić. Trzeba bowiem wciąż zapierać się siebie, „znieubić” swoje egoistyczne ja, swoje zasiedzenie i rozpychanie się w świecie, nie popadając równocześnie w destrukcyjną „samonienawiść”. Jest to dzieło tak trudne, że nieraz ma się przemożną ochotę wykrzyknąć: „Któż więc może być zbawiony?” (Mk 10,26). Wówczas przekonujemy się, że własną tylko siłą, własną sztuką nic tu dokazać nie możemy, że szarpiemy się jeno jak mucha w sieci. Tu bowiem rozpościera się królestwo łaski. A skoro tak, pozostaje nam modlitwą koić skołatane wewnątrz, modlić się o siłę do owego samo-zaparcia, do wewnętrznego obumierania naturalnym odruchom ciała i niższych, biologicznych

aspektów jaźni. Modlić się też o wyrozumiałość oraz łagodność względem innych i czekać – czujnie i cierpliwie. Zaakceptować pokornie fakt, że w sprawach zbawienia nie jesteśmy „kowalami własnego losu”, że jesteśmy bezradni i błędzący. Owszem, wolność winna współpracować z łaską – ale jej nigdy nie zastąpi.

Łatwiej, mimo wszystko, o tym wszystkim mówić niż czynić – przynajmniej nam, intelektualistom. W praktyce zaś, co rano, pytam siebie co mogę i powinienem uczynić, by ten dzień stał się dobrym krokiem ku Królestwie. Co dzień pytam jak znieść siebie samego, własne chropowatości, niepewność, gniewliwość i rozchwianie? Jak nie pobłażać różnorodnym formom samooszustwa, przedstawiającym upadki jako sukcesy, a wstydlive przegrane jako wiekopomne glorie? Powracam przeto wciąż i wciąż do świętych pism, do wielkich tekstów przeszłości, by trafniej rozkodować swój stan, by sprawniej i prawdziwiej czytać siebie oraz swój los. Staram się pozbyć drapieżności, która zdaje się dziś konieczna, by zrobić sobie miejsce wśród ludzi, a w istocie jest po prostu agresją i pychą. I nie wiem gdzie znajdę i co mi to przemaganie siebie da. Ale próbuję, bo przecież: „Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego” (J 6,68).

*Serdeczności*

*Bartek*

\*\*\*

Przeczytaj list Krzysztofa Dorosza do Bartosza Jastrzębskiego

I część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą

Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu

II część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Sobór Trydencki powinien przyjąć dobre owoce Reformacji

Bartosz Jastrzębski: Protestantyzm wyniósł porządek świecki nad boski

III część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Poszukując Boga w ciemności i niewiedzy

Bartosz Jastrzębski: Religia, która nie tworzy sztuki nie jest prawdziwa

IV część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Gdzie iść po śmierci?

Bartosz Jastrzębski: Chrześcijaństwo całkowicie przenika duszę

V część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: O duchowej intuicji

Bartosz Jastrzębski: Bądźmy roztropni niczym węże

\*\*\*

[1] Cyt. za: Pseudo-Antoni Wielki, Izajasz Anachoreta, Teksty z Filokalii, przeł. C. Dobak, Kraków 2017, s. 114.

[2] J. Ratzinger, Śmierć i życie wieczne, przeł. M. Węclawski, Warszawa 2000, s. 134-135.

[3] Tamże, s. 137.

[4] Pseudo-Antoni Wielki, Izajasz Anachoreta, dz.cyt., s. 100.

[5] Grzegorz z Nyssy, Homilie do błogosławieństw, przeł. M. Przyszychowska, Kraków 2005, s. 80-81.

[6] V. Possenti, Osoba nową zasadą, przeł. J. Merecki SDB, Lublin 2017, s. 39.

[7] Filokalia. Teksty o modlitwie serca, przeł. J. Naumowicz, Kraków 2002, s. 224.